



TADEUSZ JACEWICZ ■

Coś powinno przetrwać

ANDRZEJ CZERNECKI



O biznesie pełno w mediach. Informacje, relacje, komentarze grupują się w dwa główne wątki. Kryminalny, kiedy ściga się prawdziwe czy domniemane przestępstwa przedsiębiorców, i dramatyczny – o niszczeniu ich przez urzędników niemrawego państwa. Jest też inny, miły temat. Propaganda sukcesu, kiedy dziennikarze wychwalają zwycięzców, ich pieniądze i luksusowe życie.

Andrzej Czernecki, którego druga rocznica śmierci właśnie mija (odszedł 18 maja 2012 roku), nie należał do żadnej z tych kategorii. Był jednym z najbardziej błyskotliwych twórców biznesu ostatniego 25-lecia, ale nie obawiał się ani urzędów, ani prokuratorów, nie szukał też sławy. Był tak dobry, że grał w lidze, którą sam stworzył. Zostawił po sobie ludzi, którzy go głęboko podziwiają i szanują – oraz zasilił gigantyczną kwotą 400 milionów złotych fundację. Wspiera ona zdolne dzieci z małych miast i wsi. Wiedział z własnego doświadczenia, że o sukcesie przesądza charakter człowieka i to, co ma w głowie. Edukacyjna Fundacja im. Prof. Romana Czerneckiego (EFC) zajmuje się rozwijaniem tych właśnie zalet: osobowości i intelektu. Gigantyczna kwota, największy dar kiedykolwiek złożony na cele publiczne przez polskiego obywatela, gwarantuje, że talenty będą wyławiane i kształcone przez długie dziesięciolecia. Dotychczas jest ich 240. Będzie więcej. Znacznie więcej. O

Andrzeju będzie pamiętać jego rodzina i przyjaciele. Nie tylko zresztą oni. Zostawił coś, co powinno długo przetrwać. Dar swojego umysłu, wyobraźni i serca.

BIZNES ZBUDOWAŁ POLSKĘ

Obchody już trwają, wkrótce ich kulminacja. Świętujemy dumnie i radośnie 25. rocznicę wyborów z 4 czerwca 1989 roku. To wtedy zaczęło się nowe. Przez następną ćwierć wieku nadrabialiśmy stracony czas, budowaliśmy gospodarkę i nauczyliśmy korzystać z wolności. Być może mogło być lepiej, ale mnóstwo osiągnęliśmy. Mamy powód do dumy. Polska jest zupełnie inna, niż była. Silniejsza, bogatsza, ceniona w świecie.

Wielu ludzi z okazji rocznicy wypina piersi na ordery. Aktorka, która 4 czerwca 1989 roku uroczoko pogrzebała komunizm, opowiada o krzywdach, jakie ją spotkały. Wspominanie Wałęsy jest nietaktem towarzyskim. Przywódców polskiego zrywu jest za to mnóstwo, i ciągle ich przybywa. Opowiadając

o swoich zasługach, liczą na słabnięcie pamięci innych. Różne plebiscyty wyłonią różnych zasłużonych. Każdy będzie miał własnego, zgodnie z poglądami politycznymi i zapiekłą niechęcią do wszystkich. Nie zgłoszę żadnego nazwiska, chociaż muszę wymienić Leszka Balcerowicza. Na wdzięczność zasługuje duża grupa społeczna (dawniej nazywano ją klasą). To przedsiębiorcy. Ludzie, którzy uratowali polską gospodarkę przed całkowitym załamaniem a nas przed nędzą. Zaczynali od rozkładanych łóżek na bazarach, teraz kierują potężnymi firmami. Zatrudniają 80 proc. pracujących, utrzymują emerytów, szpitale, szkoły, policję, wojsko i rząd. Są bohaterami nowej Polski.

Minęła właśnie druga rocznica przedwczesnego odejścia jednej z najwybitniejszych indywidualności tej grupy – Andrzeja Czerneckiego. Wtedy, kiedy tworzone struktury prawne i organizacyjną polskiej gospodarki, włączył się do polityki. Potykał się o prostactwo i ignorancję w Sejmie, rozwijał własny biznes. Jedyny polski przedsiębiorca, który eksporto-

wał 98 proc. produkcji i miał pozycję światowego lidera. Był biznesmenem najnowszej generacji. Świetny zawodowo, biegły międzynarodowo, wrażliwy i mądry społecznie. Zarobił dużo pieniędzy, zapewnił bezpieczny byt rodzinie i przekazał na cele charytatywne gigantyczną kwotę. Szkoda, że już go z nami nie ma. Mógł jeszcze tak wiele zrobić. Sam i dając przykład innym.

SYN WPATRONY W OJCA

Starszy syn Andrzeja, 30-letni Igor Czernecki, jest wpatrzony w nieżyjącego ojca i na pamięć zna jego twardą drogę życiową. Studiował na kilku bardzo znanych uczelniach, obecnie pracuje na Columbia University. Udziela się też w Edukacyjnej Fundacji im. Prof. Romana Czerneckiego, gdzie razem bratem Andrzejem juniorem kontynuuje dzieło ojca w ważnej sferze jego zainteresowań: kształcenie wybitnie zdolnych ludzi, którzy bez pomocy zewnętrznej nie mogliby tych uzdolnień rozwijać.



Andrzej Czernecki na nartach w Austrii w latach 70.

Andrzej Czernecki przeznaczył na tę fundację większą część swojego majątku – 400 milionów złotych. Ten potężny dar największy w 25-leciu nowej Polski, przeszedł bez większego echa medialnego, ale świetnie funkcjonuje. Dlaczego bez echa, pytam Igora. „Ojciec nie lubił rozgłosu i chronił jak mógł siebie, swoje działania i swoją rodzinę przed eksponowaniem w mediach. Szanuję jego wolę, dlatego kontynuujemy działalność fundacji, robiąc swoje bez fanfar. Sądzę, że to najlepiej oddaje oczekiwania fundatora” – mówi Igor.

Andrzej jest dla swoich synów wzorem człowieka, biznesmena, działacza społecznego i charakteru. Podziwiają jego odwagę i zdolność koncentrowania się na starannie wyselekcjonowanych, najważniejszych celach. „Ojciec miał ścisły i ciekawy umysł” – wspomina Igor. „Był typowym pozytywistą, wierzącym w rozwój. Wyrażał opinię, że jego dzieci doczekają postępów w medycynie, które umożliwią wydłużenie życia człowieka. Sztuczna inteligencja była, zdaniem ojca, tylko kwestią czasu. Interesowały go nie tylko zdarzenia i zjawiska,

Andrzej Czernecki był jednym z najbardziej błyskotliwych twórców biznesu ostatniego 25-lecia. Nie obawiał się urzędów, ani prokuratorów, nie szukał sławy. Był tak dobry, że grał w lidze, którą sam stworzył. Zostawił po sobie podziw tych, którzy go znali oraz fundację wspierającą zdolne dzieci z małych miast i wsi.

ale przede wszystkim ich mechanizmy. Pytanie „dlaczego” było najczęstszym, jakie zadawał”.

FIZYKA I BIZNES

Ta ciekawość świata i zainteresowanie mechanizmami działania różnych zjawisk stwarzały niekiedy kłopoty. Ojciec Andrzeja, prof. Roman Czernecki, wspominał, jak to kilkunastoletni syn ówczesnego rektora Uniwersytetu Gdańskiego nieomal wysadził w powietrze Instytut Chemii. Wkradał się tam, by eksperymentować z mieszkami chemicznymi. Jedna z nich eksplodowała... Na studiach doktoranckich odpowiadał za obsługę pierwszego komputera w Polsce, zajmującego wtedy sporą część Pałacu Kultury. To, że Andrzej Czernecki nie został wysokiej klasy fizykiem teoretycznym, wynikało z tego, że urodził się w Polsce. Gdyby mieszkał w USA, trudno by zakreślić granicę kariery. Może z Noblem łącznie...

„Ojciec miał umysł, który domagał się pełnego zrozumienia zagadnienia. Tropił i odrzucał nielogiczne wątki. Wiele godzin spędzał z inżynierami, pracując nad uproszczeniem

konstrukcji cyfrowych urządzeń. Ta twórczość badawcza natychmiast przekładała się na unowocześnianie technologii, która była jego oczkiem w głowie. Firma inwestowała ogromne kwoty w modernizację i automatyzację linii produkcyjnej. To dlatego niestraszna był konkurencja Chińczyków, którzy nie mogli rywalizować z wydajnością polskiej fabryki. Gdy do Polski przyjeżdżały delegacje amerykańskich dystrybutorów, reakcja zawsze była ta sama: podziw i niedowierzanie, że tak zaawansowana technologicznie wręcz kosmiczna fabryka znajduje się w Polsce” – z nieukrywaną dumą mówi Igor Czernecki.

ŚWIATOWY GRACZ

Z pytaniem, jakim cudem człowiek, który nie chciał i zresztą nie potrafił się przymilać urzędnikom, zbudował tak potężną firmę, zwróciłem się do jego prawej ręki, Wojciecha Wyszogrodzkiego. Pan Wojciech był dyrektorem generalnym HTL Strefa i czuł się „młodszym bratem” szefa. Nie było między nimi tajemnic czy gier taktycznych, które często w dużych firmach występują. Mówi, że „w PRL było łatwiej, bo HTL produkował potrzebne urządzenia medyczne, których dużą część eksportowano do ówczesnego Związku Radzieckiego. Urzędnicy, nawet jeśli mieli ochotę pogmerać przy tym biznesie, nie bardzo mieli okazję to czynić. Gorsze było zderzenie z rynkiem wtedy, kiedy eksport na Wschód się załamał, trzeba było zwolnić 700 ludzi i szukać zbytu gdzie indziej. To była dramatyczna walka o przetrwanie, w której nikt nie mógł pomóc. Ale w takich sytuacjach najlepiej widać, kto jest chłopczykiem w krótkich spodenkach, a kto prawdziwym facetem. Kiedy w 1992 roku Amerykanie zaproponowali Andrzejowi stworzenie jednorazowych bezpiecznych

nakłuwaczy niezbędnych do określania zawartości cukru we krwi u cukrzyków, podjął wyzwanie. Cztery lata później rozpoczęto seryjną produkcję nakłuwaczy. Na początek 28 mln sztuk rocznie. Kiedy kilkanaście lat później HTL sprzedawano funduszowi inwestycyjnemu, roczna produkcja nakłuwaczy wynosiła prawie 2 mld sztuk. Cały ich światowy rynek był i jest w 60 proc. opanowany przez produkty HTL”. Byłem przez wiele lat szefem redakcji Nauki i Techniki Polskiej Agencji Prasowej i pamiętam korowody zrozpaczonych wynalazców, którzy usiłowali w jakikolwiek sposób, przez np. interwencje w prasie, zainteresować kogoś swoimi opracowaniami. Nikogo one nie interesowały. Dlaczego więc udało to się Czerneckiemu? Wojciech Wyszogrodzki twierdzi, że niewiele było w tym szczęścia czy przypadku. Jego szef i przyjaciel niezwykle intensywnie obserwował świat i błyskawicznie wyciągał z tych obserwacji wnioski. Każdy, kto kiedykolwiek zetknął się 20 lat temu z cukrzykiem, wiedział, jaką męką było badanie poziomu cukru, ile to trwało, jakie niebezpieczeństwa zakażenia powstawały. To było zupełnie oczywiste, że trzeba ten proces uprościć.



Andrzej Czernecki stawiał sobie wysoko poprzeczkę, ale kochał życie



1. Uehonorowany przez papieża Jana Pawła II. 2. Z Wojtkiem Wyszogrodzkim w hali produkcyjnej. 3. W dniu debiutu firmy na giełdzie

ANALITYK W CHAMPIONS LEAGUE

Andrzej był wybitnym analitykiem, bardzo dużo czytał i miał ogromną zdolność koncentracji na najważniejszych punktach tego, co poznawał. Ze strzępków informacji potrafił budować całościowy obraz problemu, a potem z ogromnym skupieniem i konsekwencją go zaatakować. Jeśli pokazywały się jakieś trudności, to małe łamał bezwzględnie, a duże starał się jakoś ominąć. Przy wyjątkowo wielkich przeciwnościach modyfikował strategię dojścia, ale cel pozostawiał bez zmian lub go nawet podwyższał. „Często słyszę, że biznes jest grą, to prawda. Gdyby w biznesie utworzono Champion League, to Andrzej by w niej grał. Miał wizję, nie rozpraszał się na rzeczy drobne. Mogły dawać jakieś efekty cząstkowe, ale dla niego była to strata czasu, bo liczył się tylko cel główny” – wspomina dyrektor Wyszogrodzki. To są cechy przywódcy, dlatego więc nie zrobił kariery w polityce?, pytam „Bo szybko spostrzegł, jaka substancja tam się znajduje, jak marni ludzie z ustami pełnymi frazesów robią kariery, do jakiego mistrzostwa dochodzi udawanie pracy, myślenia strategicznego czy patriotyzmu. Andrzej mówił o tym z obrzydzeniem i dobrze, że nie ugrzązł w polityce na dłużej. W twardej, ale jasnych układach gry rynkowej został gwiazdą. W polityce byłby zgorzkniałym frustratem. Cieszę się, że to go nie spotkał”.

MAMY SŁABYCH GRACZY

Nie cierpiał bylejakości, tak manier jak i umysłu. Andrzej Czernecki nie był łatwy towarzyszko. Szybko kojarzył i szybko mówił – zawsze to, co myślał. Nie dla wszystkich było to przyjemne, ale uchodziło mu na sucho. Jeśli krytykował, to bez jadu i nigdy nie robił plotek. Nie kochał krytyki siebie, niekiedy wściekał się na recenzenta, ale słuchał i wyciągał wnioski.

Obaj podzielaliśmy pogląd, że Polacy funkcjonują w świecie znacznie gorzej, niż powinni. Brak nam wiedzy, jak się w nim poruszać, doświadczenia wynikającego z licznych, profesjonalnych i towarzyskich kontaktów na odpowiednich szczeblach. Obydwaj przeczuliśmy się przykładami kmiotów na wysokich stanowiskach państwowych, którzy nadęci swoim ministerialnym lub parlamentarnym stanowiskiem, usiłują załatwić jakieś ważne sprawy. Bez kindersztuby, bez obycia w wysokich międzynarodowych sferach, za to z butą i przekonaniem o własnej ważności, która wypływa z etatu. Pobyt w Marbelli zaostrzył jego kryteria i ostrość ocen. Ludzie, kiedy się bawią na wakacjach, są najbardziej prawdziwi. Opada z nich cienka warstewka przymusowej ogłady lub wyobrażeń o niej, puszczają hamulce. Jedzą i piją tak, jak lubią, komentują otoczenie i opowiadają lepkie kawały. Wszystko w specyficznym układzie psychologicznym: osoba



Andrzej Czernecki żeglował od najmłodszych lat, kiedyś Omegami w zatoce Puckiej, później Konkordią po świecie

przyjmująca staję na głowie, żeby gościa szczerze podjąć, a ten protekcjonalnie się nadyma, robiąc swoją obecnością łaskę gospodarzowi.

Często o tym rozmawialiśmy, w bardzo ograniczonym i wyłącznie polskim gronie, najchętniej w cztery oczy. Mimo wszystko „good or bad, my country” (dobry czy zły, ale to mój kraj). Doszliśmy do nieodkrywanego wniosku, że jakość ludzi działających w świecie jako oficjalni przedstawiciele państwa lub biznesmeni tworzy pozycję, wizerunek, skuteczność negocjacyjną, buduje lub podważa autorytet kraju. A ten przekłada się na siłę polityczną, ułatwia wzrost gospodarczy i, co tu dużo mówić, jest przyjemny dla Polaków, dobrze traktowanych wszędzie tam, gdzie się znajdują.

W tych rozmowach byłem ostrożnym optymistą. Moim zdaniem młodzi ludzie, po doskonałych uczelniach zagranicznych, prawdziwi obywatele świata, wniosą do naszego życia publicznego, biznesowego i towarzyskiego nową jakość, wyższą klasę. Uważałem, że zmiana pokolenia przyniesie zmianę obyczajów.

Andrzej optymistą nie był. Swoje doświadczenie sejmowe nie tylko gorzko wspominał, ale z niepokojem przykładał do aktualnych praktyk. Zalew cwaniactwa, oportunistów, chęci i łatwości łamania wszelkich zasad, jakie dostrzegał w życiu

publicznym 20 lat temu, nie wysychał. Wręcz przeciwnie, rozszerzał się i stawał się coraz bardziej mulisty. Wystarczy popatrzyć na młode kadry partii politycznych i na najmłodszych posłów. Dwudziestokilkuletni, trzydziestoletni bezwzględni w robieniu kariery, cyniczni, niełojalni. I często głupi, jak ten ekspert od powstania warszawskiego zlokalizowanego w stanie wojennym.

Obawiam się, że to Andrzej miał rację. Czeka nas długa, kręta droga pod górę, zanim coś naprawdę się zmieni.

ZAFASCYNOWANY AMERYKANIN

Christopher Clover jest jedną z instytucji najsłynniejszej hiszpańskiej miejscowości nadmorskiej Marbella. Przypadkowo spotkał Andrzeja Czerneckiego, kiedy ten szukał domu. Agencja Chrisa znalazła odpowiedni obiekt – piękny 1000-metrowy dom w górującej nad miastem dzielnicy Sierra Blanca - i przeprowadziła transakcję. Andrzej nie był łatwym klientem, ale Chris wyczuł w nim wybitnego człowieka i cierpliwie przetrwał różne zakręty po drodze do transakcji. Bardzo się zaprzyjaźnili, bo Clover to znacznie więcej niż właściciel dużej agencji nieruchomości, a Andrzej był kimś znacznie bardziej interesującym od przeciętnego multimilionera szukającego w Marbelli rezydencji. Coś między nimi

kliknęło, powstała kilkuletnia przyjaźń, którą z przyjemnością obserwowałem, i w której nader często uczestniczyłem. Przez dwa lata, które już minęły od śmierci Andrzeja, kiedykolwiek spotkam Chrisa, wspomnienie o wspólnym przyjacielu jest żelaznym punktem konwersacji.

Clover był zafascynowany osobowością i poglądami swojego najpierw klienta, później druha. Mówi o nim wyłącznie w superlatywach. „Sądzę, że Andy urodził się jako człowiek wysokich lotów, nie w sensie pieniędzy, ale tej ogromnej klasy, która była naturalną jego cechą. Jeśli dodać do tego doskonale wykształcenie, ogromną samodyscyplinę i zdolności wznoszenia się ponad trudne sytuacje – był to człowiek wyjątkowej jakości i atrakcyjności. Zawsze się spieszył. Kiedy coś kończył, natychmiast zaczynał coś innego. Nie lubił długo rozmawiać przez telefon, mówił precyzyjnie. Niekiedy się niecierpliwił, dlatego że był perfekcjonistą, ale nigdy nie był niegrzeczny. Być może jego pośpiech, nieustanny bieg naprzód wynikał ze świadomości, że żyje w pożyczonym czasie, mając świadomość powagi swojej choroby. Ale sądzę, że był autentycznie ciekaw ludzi i świata, chciał poznać i dowiedzieć się jak najwięcej”.

SPOTKANIA NA TARASIE

Spotkania na tarasie willi Andrzeja zawsze wymagały sporego wysiłku intelektualnego, lecz dawały mnóstwo satysfakcji. Chris, Amerykanin zakochany w Hiszpanii i Europie, nie miał w sobie nic z obcesowości jankesa widzącego świat w czarno-białych barwach. Chętnie wdawał się w dyskusje geopolityczne, w których na ogół zgadzał się z Andrzejem i reagował z wyrozumiałością na moje piętrowe konstrukcje modelu idealnego świata. Andrzej, który miał bardzo silne własne zdanie na każdy temat, potrafił je zmienić, jeśli usłyszał logiczne kontrargumenty. Na takich spotkaniach panie na ogół zajmowały się swoimi sprawami, a my roztrząsaliśmy zawiłości współczesnego świata. Długowłose owczarek alzacki, który przysłuchował się konwersacji, dopełniał obrazu trzech opalonych panów, popijających szlachetne trunki i gimnastykujących umysły w utopijnym celu dojścia do ulotnej prawdy. Panorama Marbelli na dole była dobrym tłem spotkania.

Andrzej zasadniczo różnił się od polskich ludzi biznesu, którzy chętnie demonstrują bogactwo i odpowiadający mu stan posiadania. Kupił co prawda ponad 50-metrowy jacht żaglowy o pięknej dynamicznej sylwetce oraz mercedesa SLR, zaprojektowany przez McLarena „samolot na kółkach”. Nie

po to jednak, żeby komukolwiek imponować. Lubił pływać i sporo przyjaciół oraz znajomych przewinęło się przez pokład jego jachtu i lubił czuć potworną moc kilkuset koni pod nogą, kiedy wjeżdżał pod górę w Sierra Blanca. To nie był człowiek, który szastał pieniędzmi, on je tylko wydawał. Rozsądnie, precyzyjnie, jak przystało na fizyka atomowego.

ODDAĆ MILIARDY INNYM

Amerykański kapitalizm uważany jest za system rynkowy w najczystszej postaci. Twardy, brutalny, wielbi zwycięzców, pogardza przegrany. Jankesi modlą się do dolarów i do ludzi, którzy ich dużo mają. Używając sformułowania nestora naszej polityki, jest tam nie tylko rynkowa gospodarka, ale i rynkowe społeczeństwo.

Zdumiewa więc ruch, jaki w Stanach powstał. Miliarderzy, których indywidualne majątki wynoszą więcej niż budżet niejednego małego państwa, poczuli silny instynkt społeczny.

Warren Buffett, Bill Gates i jego żona Melinda zachęcają koleżanki i kolegów miliarderów do wsparcia spraw zwykłego człowieka. Inicjatywę nazwali „Giving Pledge”, co nie daje się zgrabnie przetłumaczyć na polski. Coś w rodzaju „podjęcie zobowiązania”. Miliarderzy zobowiązują się przeznaczyć większość swoich majątków na cele społecznie użyteczne: medycynę, edukację, ochronę środowiska, żywność dla biednych, wodę dla spragnionych. Warunki dla chętnych, których znalazło się zdumiewająco wielu, są tylko dwa: trzeba być dolarowym miliarderem i zobowiązać się do rozdania

ponad połowy majątku.

Akcja szybko się rozwija. Jest już 122 chętnych, którzy przyrzekli przekazać ponad 500 miliardów dolarów. Są wśród nich największe nazwiska biznesu z 12 państw, bo akcja znalazła zwolenników także poza granicami USA. Obok Davida Rockefellera, którego obecność w tym towarzystwie nikogo nie dziwi, znalazły się tam swojsko brzmiące nazwiska np. państwa Zegar czy małżeństwa Secunda. Richard Branson figuruje na niej w pobliżu dobrego znajomego prezydenta Kwaśniewskiego Wiktora Pinczuka oraz rosyjskiego oligarchy Władimira Potanina. Zestaw robi wrażenie. Kilka miesięcy temu, kiedy zwołano zebranie hojnych filantropów, chmary prywatnych odrzutowców zapchały lotnisko w Omaha. Możemy mieć satysfakcję, że nasz rodak wyprzedził ten ruch. Andrzej Czernecki miliarda nie uzbierał, ale dużą część swojego majątku, 135 milionów (w przeliczeniu na dolary), przekazał

na wsparcie kształcenia zdolnych dzieci. Chwała mu za to. Na pomysł wykorzystania swojego majątku dla pomagania innym Andrzej Czernecki wpadł przed amerykańskimi miliarderami, chociaż sama idea fundacji narodziła się wcześniej.

UCZCZENIE PAMIĘCI OJCA

Andrzej od dłuższego czasu wspierał finansowo szkołę w Słupi Jędrzejowskiej, kupując jej nowoczesne komputery, uzupełniając bibliotekę szkolną czy finansując dodatkowe zajęcia. Jego ojciec, prof. Roman Czernecki w czasie okupacji niemieckiej prowadził tam tajne nauczanie, a szkoła zrewanżowała się przyjęciem jego nazwiska jako patrona. Dzieci kończyły gimnazjum, były dobrze wyedukowane, ale większych perspektyw awansu społecznego nie miały. Andrzej stworzył więc Edukacyjną Fundację im. Prof. Romana Czerneckiego. Zadaniem fundacji jest nie tylko wyrównywanie szans edukacji młodych ludzi z małych ośrodków, ale też wyszukiwanie i wspieranie talentów. Igor Czernecki, który aktywnie działa w fundacji z dumą stwierdza, że ma ona dzisiaj ponad 240 stypendystów ze wszystkich województw Polski. Dzięki jej wsparciu dzieci z domów, które nie mogłyby sobie na to pozwolić bez pomocy, trafiają do najlepszych szkół w Polsce. Niektóre później kontynuować będą naukę w Oxfordzie.

„Ojciec, syn dwojga pedagogów, z domu wyniósł szacunek dla edukacji i na rzecz edukacji przeznaczył dorobek życia. EFC rozumiem jako wyraz starodawnego patriotyzmu ojca, który nie szczędząc gorzkich słów na temat zaprzepaszczenia różnych szans przez Polskę, był jej losem do końca życia głęboko przejęty” – mówi Igor Czernecki. Całkowicie potwierdzam jego spostrzeżenia. Wielokrotnie rozmawiałem z Andrzejem na temat dreptania kraju w miejscu po tym wspaniałym zrywie w 1989 roku. Był on zdania,

że bez aktywnego wyszukiwania talentów, ich wspomagania i ułatwiania im rozwoju nie dogonimy czołówki świata. A talenty – tu też całkowicie się zgadzaliśmy – to nie tylko ludzie z wielkich miast, po świetnych uczelniach i z wielką erudycją. W miasteczkach i wsiach, przez które szybko przejeżdżamy samochodem, są młodzi ludzie, którzy podbiliby świat – gdyby tylko ktoś im pomógł. Andrzej wiedział o tym i zorganizował pomoc w swoim stylu: hojnie, dyskretnie, skutecznie.

WSPANIAŁE ŻYCIE

Igor wspomina, że ojciec uwielbiał słońce, sport, brydża, szybkie auta i piękne kobiety. Był bardzo dumny, kiedy w połowie lat 90. kupił mieszkanie na Fisher Island, prywatnej wyspie przy wybrzeżach Miami. Często zapraszał przyjaciół z Polski, a w Miami Beach zdarzały się wtedy imprezy w towarzystwie Jacka Nicholsona czy Claudii Shiffer. Na wakacjach na Florydzie całymi dniami siedział na słońcu, przekonany o zaletach opalenizny nad ewentualnymi szkodami promieni UV, pożerając książki Stephana Kinga i pisma naukowe, wpływając z dziećmi kilometry w morze. Przy odpowiedniej pogodzie brał motorówkę na narty wodne, a czasem na całodniowy wypad na Bahamy. Dzieciom ustawił dni (wakacyjne przecież) rygorystycznie. Pobudkę stanowiło zazwyczaj wideo edukacyjne z języka francuskiego (czasem dla odmiany były to instruktażowe filmy o windsurfingu), a następnie biegi wokół wyspy (zawsze z ojcem), następnie nakrywanie i sprzątanie po śniadaniu, potem obowiązkowy pobyt na słońcu z pływaniem lub, ku nieszczęściu dzieci, windsurfingiem, gdy wiało (a nigdy nie wiało tak, jak trzeba). Po obiedzie zajęcia z tenisa lub golfa, a wieczorem zadania z matematyki (telewizję można było oglą-



EFC

Edukacyjna
Fundacja
im. Prof. Romana
Czerneckiego

Stypendyści EFC mają zapewnione warunki do wszechstronnego rozwoju. – Przekazujemy im wartości, którymi kierował się mój ojciec. Ważny jest nie tylko cel, ale również droga do niego – podkreśla Igor Czernecki. Być może niektórzy z nich pójdą w ślady Andrzeja Czerneckiego, a wtedy polskie nazwiska znów zaczną się pojawiać w prestiżowych naukowych czasopismach Nature, czy Science. Niewykluczone, że trafią też na łamy amerykańskiego magazynu ekonomicznego Fortune, który co roku wyróżnia założycieli najbardziej podziwianych firm na świecie.

dać dwie godziny dziennie). Był to szczęśliwy okres w życiu ojca, przerwany chorobą.

CIĘŻKA CHOROBA

Wtedy zachorował na raka krwi. Zachorował i podjął walkę, jak z każdym problemem czy przeciwnikiem. Ojciec – wspomina Igor Czernecki - zaskakiwał niemieckich i amerykańskich onkologów, pobijając kolejne rekordy żywotności wśród ludzi chorych na limfomę. Między kuracjami odrzucał od siebie świadomość choroby, prowadząc tryb życia osoby zdrowej. Pracował i uprawiał sporty, uciekał ze szpitali z ledwie co zabandażowaną ręką po kroplówkach, czym przypominał młodemu rozrabiakę urywającego się z klasy, doprowadzając tym dostojnych niemieckich profesorów do furii. Ciągłe wyszukiwał najnowsze kuracje i wydawało się przez czas pewien, że ma przewagę. Jednak choroba zataczała coraz ciasniejsze kręgi wokół ojca, uodparniając się na kurację i przyjmując coraz to bardziej agresywne oblicze.

Po 17 latach walki uległ jej, ale nie przegrał życia. Do końca był sobą.

W AMERYCE BYŁBY PREZESEM

Gerard Cooney ma kilkadziesiąt lat praktyki w produkcji i dystrybucji wysokiej jakości sprzętu naukowego. Obecnie jest prezesem i dyrektorem generalnym amerykańskiej firmy Labnet, która jest globalnym producentem takiego sprzętu. Od 1989 roku jego firma sprzedawała najpierw w USA, a później na rynkach międzynarodowych urządzenia do dozowania płynów produkowanych przez spółkę HTL PZ, należąca do Andrzeja Czerneckiego. Współpraca szła na tyle dobrze, że Cooney kupił od Czerneckiego spółkę w 2005 roku. Ułatwił także kontakty z amerykańskimi firmami farmaceutycznymi, przez które Czernecki sprzedawał lancety cukrzycowe wytwarzane w HTL Strefa. Jak wspomina dzisiaj, każde spotkanie z Andrzejem Czerneckim było jednocześnie przyjemnością i wyzwaniem.

Dlaczego wyzwaniem?, pytam. „Andrzej miał błyskotliwy umysł i niezwykle skoncentrowane podejście do świata. Widać to było szczególnie w biznesie, gdzie potrafił szybko odkrywać nowe możliwości i błyskawicznie starał się je rozwijać. Jego wyjątkowe talenty, połączone z dużą pewnością siebie oraz wielką pasją, z jaką traktował interesy i życie, sprawiły, że cieszył się popularnością i szacunkiem na wysokich szczeblach decyzyjnych niektórych największych amerykańskich firm farmaceutycznych. Jestem całkowicie przekonany, że gdyby zechciał robić karierę korporacyjną, trafiłby na najwyższe szczeble zarządzania. I nie byłoby łatwo pod nim pracować, bo Andrzej atakował problemy i nowe tematy z siłą huraganu” – mówi Cooney.

NIE LUBIĄ GAWĘDZIARZY

Ze swoich doświadczeń z Amerykanami zarządzającymi wielkimi koncernami wiem, że kontakty z nimi przypominają poruszanie się po polu minowym. Polskiej naturze bardzo trudno jest przyswoić reguły takich relacji, od zachowania po sposób mówienia i budowania argumentacji. Dużi chłopcy w Ameryce są, jak sami często powiadają, „allergic to bullshit”

(nie znoszą czczej gadaniny). Dla Polaka, który chce robić z nimi interesy, rozmowa, w której każdy wyraz się liczy i każde zdanie bezlitośnie oceniają, to trudny labirynt. My, ze swoimi skłonnościami do rozległych opowieści, odbiegania od tematu, wspomnień i porównań historycznych, mamy tam ciężko. W najlepszym razie wysłuchają takiego gawędziarza, po czym skomentują jego wywody „how interesting” (co oznacza „spieprzaj dziadu”) i kontakt się urywa. Jak raz się urwie, to później trudno go nawiązać, bo chyba towarzysko czy zawodowo funkcjonuje tam system ostrzegania przed marnującymi czas gadułami. Nie zdołamy się do końca wypowiedzieć, a już Amerykanie przestają nas słuchać. Może dlatego nasz eksport do Ameryki jest mniejszy od wskaźnika sprzedaży, jaki osiągamy w małej Słowacji.

„Wdrzeć się na rynek amerykański to piekielnie ciężka operacja, mówi Gerard Cooney. Wymaga wizji, kreatywności, determinacji, zręczności i osobowości. Andrzej te przymioty miał silniej rozwinięte niż ktokolwiek z nas. Był niezmiernie badający rynki, testując produkty konkurencji, przyciągał jak magnes wyjątkowo utalentowanych ludzi, ani na chwilę nie przestawał poszukiwać możliwości ulepszenia istniejącej technologii. Budował partnerskie relacje, inspirował kolegów do nieustannego doskonalenia wyrobów i technologii. A przede wszystkim uważał, że HTL w Polsce jest najlepszym partnerem dla amerykańskich kontrahentów. To nie była jego gra handlowa. On głęboko w to wierzył”.

TAM CENIĄ OSOBOWOŚCI

Amerykanie bardzo pilnie studiują psychikę przyszłego partnera czy kontrahenta, usiłując go kwalifikować do którejś z kategorii, jakie w takich ocenach stosują. Najwyżej cenią ludzi, którzy mają silny charakter, ale potrafią słuchać innych i wyciągać właściwe wnioski. Cała Ameryka żyje w niechęci do trawienia czasu i strachu, że ktoś im go zmarnuje. Stąd często słyszane w filmach sformułowanie „dziękuję za twój czas”, które w ogóle nie występuje w Polsce. Ani na filmach, ani w prywatnych rozmowach. My mamy mnóstwo czasu, oni nie. Dlatego przyjęli Czerneckiego jak swojego, bo Andrzej był szokująco amerykański w kontaktach towarzyskich: jeśli rozmowa była bez sensu, po prostu wstawał i wychodził. Cooney to niejedną raz widział i bardzo cenił.

„Andrzej miał energię i pasję życia, która była zaraźliwa. Jak na kogoś, kto często był pogrążony we własnych myślach i poważny, miał on fantastyczne poczucie humoru. Był prawdziwym człowiekiem renesansu, który kochał podróżowanie, czytanie, sztukę, architekturę, historię, szczególnie polską, i zawsze zastanawiał się nad losem człowieka. Ciągłe się uczył i nie było sprawy, o której by czegoś nie wiedział. Miał jeszcze tę wyjątkową cechę: sprawiał, że w jego obecności czułeś się większy i ważniejszy, niż byłeś w rzeczywistości”.

Wspomnienia Gerarda Cooneya mają jeszcze dodatkowy, osobisty wymiar. Dla niego Andrzej był fantastycznym partnerem biznesowym i jeszcze lepszym biznesowym przyjacielem. Mieli wiele wspólnego w poglądach na świat, ufali sobie i wiedzieli, że jeden drugiego nie zawiedzie. „W pewnym sensie była to postać, która nie mieściła się w normalnych kategoriach życiowych, wspomina Cooney. Jestem dumny, że



Dzieci były dla niego najważniejsze. Każdą wolną chwilę starał się spędzać z synami, najchętniej aktywnie

go znałem i bardzo mi go brakuje. Był zarówno wielkim człowiekiem, jak i tym, kogo w nowojorskim Brooklynie, gdzie się wychowałem, określano jako charakterny facet”.

LARGER THAN LIFE

Chris Clover, który w swoim biznesie sprzedaje luksusowych nieruchomości nauczył się bezbłędnie oceniać ludzi, często i z nieukrywanym żalem wspomina Andrzeja. „Nie było w nim nic sztucznego. Stanowił antytezę tego tłumu bogatych próżniaków, jaki przelewa się przez Marbellę, marnując czas na puste plotki i opowieści o dawnych sukcesach. Potrafił się znaleźć w najlepszym towarzystwie i grać zgodnie z jego zasadami, ale to nie było jego hobby. Nie był snobem. Przyjaźnił się tak z tymi, którzy musieli pracować na swoje utrzymanie, jak i z milionerami, nikogo nie wyróżniając”.

„Dla mnie najciekawszą zaletą rozmów z nim była wielka erudycja i nieukrywane zainteresowanie światem. Dodam od razu, że ważnymi i interesującymi sprawami tego świata, a nie towarzyskim pustostawem. Amerykanie takich ludzi nazywają „larger than life” (nadzwyczajny, nieporównywalny)” – opowiada Clover.

Igor całkowicie się zgadza z opinią Chrisa, z którym się zresztą przyjaźni. Dodaje, że ojciec pod koniec życia dużo czasu spędzał w domu w Marbelli, gdzie zdarzyła mu się przygoda

dobrze opisująca jego temperament. Stał na światłach w superszybkim, sportowym aucie (całe życie miał do nich słabość), gdy po drobnej prowokacji młody chłopak zerwał mu z nadgarstka zegarek, wskoczył na skuter kolegi i razem odjechali. Ojciec pognął za nimi. Pościg skończył się urwaniem zawieszania, którego naprawa przewyższała wielokrotnie wartość zegarka. Po ochłonięciu ojciec śmiał się, że oni mieli szczęście, bo gdyby nie przeszkoda, na której odleciało koło, rozjechałby obu. Wielką dumą ojca był 50-metrowy jacht żaglowy o nazwie Konkordia, którym podróżował po świecie w ostatnich latach życia. Miało się wrażenie, że ojciec częściej pływał wokół jachtu niż na nim, tak bardzo kochał morze i sport, kończy Igor Czernecki.

Czas szybko ucieka, wspomnienia zacierają się w pamięci, po człowieku zostaje to, co będzie trwało. Byłoby wspaniale, gdyby polski biznes, w którym znajduje się wielu ludzi wielkiego serca, rozumu i charakteru, zechciał wziąć przykład z decyzji Andrzeja. Żeby zaczęły się mnożyć znaczące wpłaty na cele społecznie użyteczne, żebyśmy dołączyli do tej szlachetnej mody, którą w USA zapoczątkowali Buffetti i Gates. Byłoby pięknie, gdyby ludzie zafascynowani zdobywaniem znaleźli jeszcze większą radość i satysfakcję w dzieleniu się zdobyczą z innymi. **HL**